

bo mi cię żal. A tak go sprzedam i będzie na marki. Bo to musi iść jako cywilny list. Zgoda?

— Cóż mam robić? Masz!

— No to siadaj, pisz!

Jurek przykucnął na ziemi i przy migotliwym świetle, padającym z okna kajuty pisać począł na kartce wyrwanej z notesu.

„Droga moja!

Dziś wypłynęliśmy z Kostantynopola.

Gdzie jedziemy i jak długo to potrwa — niewiem dokładnie. W każdym razie z parę dni. Wyładują nas pewnie w jakimś porcie Małej Azji.

Jest mi teraz stosunkowo nieźle. Ten rudy Czech opiekuje się mną ciagle, choć mi ta opieka jego kością w gardle staje. Dziwnie antypatyczna figura! Ale cóż mi pozostaje? On ma stosunki i wpływy i dobrze żyje z wszystkimi szarżami. Więc mnie też teraz i lepiej traktują i znośniej karmią. Obiecał mi wystarać się o to, by mi prawo jednorocznika zwrócono. Ale najważniejsze, to te listy, które mi jakąś tajną drogą wysyła bez cenzury. Bo teraz nam tylko kartki wolno pisać.

Tu na statku pełno ludzi, jak śledzi w beczce. Narazie zdrów jestem i nawet w dobrym humorze, naprawdę Kochańciu! A jak tu cudnie, jak cudnie! Tak chciałbym po wojnie z Tobą tu przyjechać! Pali mnie ciekawość jak tam będzie w tej Azji? Moja dawna żyłka: Żadza przygód, odezwała się znów we mnie.

Niewiem, czy przeczytasz te bazgroty, bo piszę ołówkiem i przy takim świetle, że ledwo widzę.

Mój miły Boże! Czy ja myślałem kiedy, że będę własnymi oczyma oglądać to wszystko?

Gdyby tylko nie ten mundur przeklęty!

Tam u nas pewno pluty marcowe, wichury i deszcze, a może śnieg jeszcze leży? A tu słonko wiośniane, woda taka jak lustro i mimo wieczoru, chłodu nieczuć wcale.

Bądź zdrowa mamó i dobrej myśli! Dam sobie radę.

Całuję Cię jak dawniej
twój mały Synek“.

Czech schował podany list w zanadrze, mruczając w duchu:

— Jeśli myślisz, że ja ci ten list wysłę, głupcze jeden, to się grubo mylisz! Moneta nie chodzi piechotą! Kartka drukowana do tej starej wystarczy!

W dali majaczyły w wieczornym mroku kontury przeciwnych brzegów Małej Azji.

— To azjatyckie przedmieścia Carogrodu: Üşidar i Kadihüi. Tam, gdzie latarnia morska świeci! — objaśniał Czech.

Ale Jurek nie słuchał go już. Jenó mruknawszy coś miast odpowiedzi, powłókł się na przód okrętu; tam koło kotwicy, ułożywszy się na zwojach lin, oczy wzniosł ku gwiazdom, ku niebu, ku Bogu, ku temu nieznanemu, co taki daleki, choć tak upragniony, wie ponoć o najmniejszym robaczku na dnie morza! Czemż więc teraz, nie da jemu, Jurkowi, znaku, że jest, że wie, pamięta i o nim, tak bardzo opuszczonym, takim samym, samuteńskim, u wstępu życia rzuconym brutalnym prawem wojny daleko od domu, ojczyzny, od tych, którzy go kochają?...

Stałowiy dziób fregaty rozcina ciało morza na kawałki i prze naprzód, ku nieznanym brzegom. Słone, wilgotne kropelki, niby paluszki fal, z szumem pod burt bieżących, głaszczą i całują jasne skronie chłopca, szemrzą i pluskają głosem — niby — matki:

— Cichaj maleńki, cichaj! Uspokój się, synaczku, ukój, wszystko w ręku przeznaczenia! Odwieczne, nieodgadnione morze czuwać będzie nad twoim snem!

A statek szedł ciągle naprzód i naprzód, jednostajnie i rytmicznie kołysząc się z boku na bok, w takt fali, co pokornie kładła się pod jego żelazne lędźwie,

Żołnierzyna, znużony opuścił piaskiem snu zasypiane powieki, spokojny i tak bezpieczny jakby nie otchłan dziesiątek metrów wody, paru ledwo deskami przedzielona od niego, była mu za posłanie, lecz białe, miękkie łóżko, w rodzicielskim domu...

A przez sen — może do gwiazd się uśmiechał i do granatowej nocy Wschodu, co coraz gęstszym cieniem pokrywała wody...

..Wąskimi, ciemnymi uliczkami gonił za nią, bez tchu, bez pamięci... Z lewej i prawej rząd czarnych domów... Z za każdego węgla jakieś oczy złe, zbójckie, jakieś ręce w krzywe jatagany zbrojne... Na piersiach taki ciężar, taki ciężar okropny!

Biegnie, potykając się o kamienie. A przed nim — owa pani z auta, wysoka, smukła idzie wolniutko, wolniutko, ogląda się co chwilę i uśmiecha do niego bładą, pudrowaną twarzą, z pod koronkowej woalki, A oczy ma takie niebieskie, zimne, szydercze. Chce krzyczeć coś do niej, wołać, ale głos więźnie mu w gardle — nie może.

Nagle czuje, że ją schwycił za kraj sukni powiewnej, lecz w tej chwili, upadł a ona z rąk mu się wysuwa i odchodzi, odchodzi, rozplywa się, niknie w wąskich uliczkach Stambułu... Chce się zerwać i dalej biec za nią, nie może, coś go nie puszcza, jakby sznury jakieś, szarpie je — napróżno...

Nagle wyciąga ramiona, uderza o coś twardego i... budzi się. Otwiera oczy, przeciera powieki i w tej chwili słyszy nad sobą w serbskim narzeczu:

— Daj pozor, malczyk!

Równocześnie jednak, coś go silnie i dotkliwie uderza powtórnie w głowę, ziemia się pod nim rozstępuje, kołysze... Rozgląda się wokoło...

Ach, tak, prawda, to statek przewala się z boku na bok, na fali, co już nie taka łagodna, pieszcząca, jak wczoraj na Bosforze, ale zła gniewna, pomarszczona; bije o wątle ścianki okrętu. Gdzieś tam, daleko, świta. Zimno, brrr! Mgła wilgotna wstaje z nad wody.

A on leży, skulony w żołnierskim swym płaszczu. Chce się podnieść, nie może, bo oto zaplątał się w zwoje lin i one to zatrzymywały go w tym śnie męczącym.

Przetarł oczy raz i drugi, siadł, rozglądał się: Gdzie okiem sięgnąć, woda, woda, woda. Fale biegną, biegną z wełnistym garbem białym na ciemno-zielonych plecach i buch! o burt uderzają i wracają znów rozstrącone!

Nie nie widać, tylko niebo pochmurne nad głową i reje i maszty...

Z okopconych kominów czarny dym wali prosto w górę. Statek sapie i harczy i dygoce i sunie naprzód. Na horyzoncie dostrzega chłopak po chwili czarny punkt, jeden, drugi, trzeci, czwarty, to inne statki ich eskadry, ach, tak, przypomina sobie, wczoraj wieczór załadowali ich na okręty, jadą gdzieś tam do Azji na wojnę. Mój Boże, że też mógł o tem zapomnieć? A on spał, tu na górnym pokładzie; przemarzył i śniło mu się coś tak głupio?...

Dlaczego właściwie ta pani? Co go to może obchodzić? Otrząsnął się. Spojrzał za siebie. Dwoje siwych krzaczastych brwi i małe, pocziwe oczka z pośród nich uśmiechały się przyjaźnie do niego.

Zniszczone płócienné ubranie rozdarte na włochatej, brązowej piersi i marynarska czapa — mówiły same za siebie.

Siedział na przewróconej kotwicy i cmił fajkę. Wiatr chłodny niósł od niego zapach ordynarnego bakunu.

— Dzień dobry! — wyrzekł Jurek, ot, aby coś powiedzieć.

A stary:

— Uderzył się w głowę? A mocno?

— Nie, nie bardzo, ale trochę boli...

— A widzisz, ja mówił... dać pozor!

Morze nie dobre rankiem. Od „Czar nego“ wieje wiatr ruski! Huśta statkiem, jak cholera, kto nie zwyczajny, to niedobrze mu. A ty nieboże, spał? Na tej wilgoci? Ot, niemądry malczyk — durak! A czemu ty nie poszedł do „kambuzu“? Tam ciepło!

— Tyle ich jest na dole. Niedobre powietrze, leżą jeden na drugim...

— A, delikacik! Pańskie dziecko! Trza się nauczyć!

— Ja się też nauczę, ale tak z początku, ciężko!

— A ile tobie років?

— Dziewiętnaście!

— Ho — „ho! ty młodzik jeszcze! Wielki młodzik! Ty Polak? Christjanin? Ja tyż — Sławianin U ruskich służył. Ja Syrb. A tera to tu — „Ober-mat“. Ja na służbie przy kotwach. A ty śnił, ha? Tak się rzucał przez sen... Mózg się nagrzał za dnia, to temu! Carogród — niedobry, niezdrowy. Tam fybra i inne chorobiska. Ale matka — morze wnet wyleczy. Tera się trochę sierdzi. Ma się na burzę, spójrz!

Szerokim ruchem pomarszczonej, żylastej ręki wskazał bezkres wody.

— Jakież to ogrom! — pomyślał Jurek. — Jaki potężny. Mój Boże! Że też to tyle dziwów jest różnych i to tak naprawdę, nie tylko w geografii szkolnej i właśnie on, Jurek, własnymi oczyma to wszystko ogląda! Jak to się dziwnie plecie!...

I milczeli obaj zatopieni w swoich rozmyślaniach, ten jeden młody i ten drugi stary.

A wokoło nich kotłowało morze, śruby obrętu hurkotały głucho, statek skrzypiał i pisał w rejach, masztach i wianach.

Pod sino-brudnym pasmem chmur leciało stado mew z żalonym krzykiem.

A na lewo, a na prawo, przed niemi i za niemi: Nic — jeno woda.

— A powiedziez mi ojcze, gdzie to tak jedziemy właściwie? — spytał wreszcie chłopak.

— Oj, na wojnę, młady, na wojnę, na śmierć, na choroby, na głód i pragnienie, na twardą nędzę żołnierską. Niejeden z was nie wróci stamtąd. Ja znam te stopy, gdzie hyjeny jeno po nocach wyją. Ja tam bywałem. Hen, do Jaffy was wiozą, do Beirut, gdzie śnieżny Libanon, a stamtąd pójdziecie w głąb pustyni. Ot wy teraz janiczary Padyszacha!

Żołnierz podniósł głowę i skrzyżował się ich wzrok.

W oczach starego marynarza dostrzegł tyle prawdziwej życzliwości, iż bez wahania odpowiedział również serdecznym spojrzeniem.

A żeglarz szorstką, twardą dłoń na głowie młodej, rozczochranej położył.

— Jakby stary Milan, molim was, mógł kiedy pomóc, jak złe losy przyjdą na ciebie, to może da Bóg, że gdzieś w świecie dalekim na co przydam się jeszcze. Kto to może wiedzieć? Ja takiego chłopca miał, ale przepadł. I teraz sam. A ty masz kogo, matkę może?

— Mam! — cichutko szepnął Jurek.

— Pamiętaj o niej!

W starej farze podgórskiej mieściny msza cicha gorzała chwiejnym blaskiem złotych świec u ołtarza Panny Częstochowskiej.

Ranna godzina, kościół pusty i cieniem zasnuty. Witraże upiorne strzegą mroku.

Jeno złoty ornat i siwiutka głowa księdza jaśnieją pod świętym obrazem Matki Zbawiciela.

(Dalszy ciąg nastąpi).

